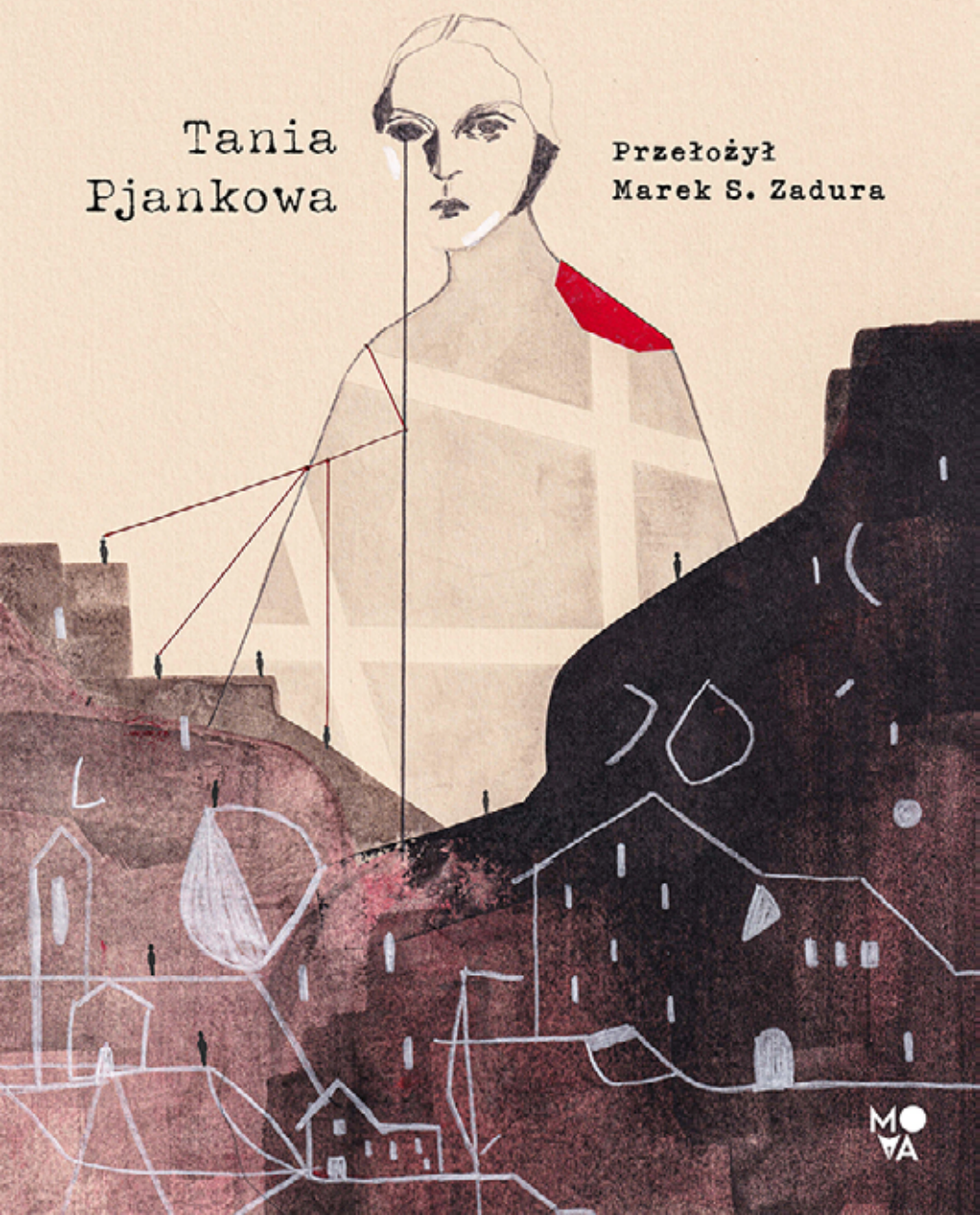


WIEK
CZERWONYCH MRÓWEK

Tania
Pjankowa

Przełożył
Marek S. Zadura



Tania Pjankowa

WIEK
CZERWONYCH MRÓWEK

PRZEŁOŻYŁ
Marek S. Zadura



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Вік червоних мурах

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Ilustracja na okładce: © Ángel Hernández, *The Guardian of Eternity*

DTP: Maciej Grycz

Copyright © Tanya Pyankova, 2022

© NF LLC (Nash Format Publishers), 2022

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova

an imprint of Wydawnictwo Kobiecte sp. z o.o.

Copyright © for the Polish translation by Marek S. Zadura, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-153-4

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



Dusia

Na początku nie jest jeszcze strasznie...

Najpierw puchną nogi.

Cierpną coraz bardziej, drętwieją, stają się takie ciężkie i pełne jak dwie beczki, jakby ktoś codziennie wlewał w nie ołów, i już nie trzymają cię, jak trzymały kiedyś, a tylko przeskadzają.

Niemilościernie cię swędzą, a ty się po nich, ostrożnie, żeby nie rozerwać skóry, drapiesz. Skóra na nich robi się cieńsza, coraz cieńsza, żółknie, napina się, pod nią powoli zbiera się jakaś żółta woda, a ty rozganasz ją, wygładzasz ręką, starasz się naprawić to, co się z tobą porobiło. Nie z całą tobą, na razie tylko z twoimi nogami.

Przyglądasz się sobie, powstrzymujesz skurcze żołądka, chcesz natychmiast wyzdrowieć, nie czekać, nie pozwolić piekącej wodzie zalać całego twojego ciała. Starasz się nie myśleć o tym, co będzie dalej, pracujesz jak głupia, żeby zapomnieć, nie patrzeć, nie słyszeć, nie wierzyć. Ale przychodzi czas, kiedy nic już nie możesz zrobić, bo woda jest wodą... A jej istotę stanowi to, że swobodnie rozlewa się tam, gdzie tylko chce...

Potem powoli roznosi cię całą, od koniuszków palców nóg po czubek głowy... Chowając się przed mamą i Myrośkiem, o świcie, kiedy wszyscy jeszcze śpią, przyglądasz się sobie już nie ze strachem, lecz z przerażeniem. Obmacujesz ciepłe nagie uda, następnie chowasz się pod ubraniem, nie chcesz, żeby widzieli, żeby wiedzieli, żeby płakali... Dość już tego płakania, tych żalów, tego zawodzenia...

Myroś też puchł. Ciało ma we wrzodach i w zastoinach. Mama milczy i coraz częściej patrzy jakby poprzez nas. Jej łzawe spojrzenie pełźnie ponad naszymi powykręcany-mi cieniami i niczym gwóźdź trafia prosto w ścianę, wbija się w nią na głucho i dopiero tam przestaje się trząść. Ona sama nie puchnie, lecz wysycha. Jej ręce i nogi chudną, wydłużają się i mama zaczyna przypominać czaplę – jest chuda i wysoka, jeszcze taka piękna, tylko twarz ma czarniejszą niż noc. Kiedyś, jak się myśla, to zobaczyłam, że nie ma już piersi. Pozostały z nich, niegdyś wspaniałych, wysokich, sprężystych, dwa pomarszczone worki, które wciąż jakoś trzymają się ciała.

Mam dziewiętnaście lat... Myrosiowi biegnie dopiero piętnasty rok... Jest zima trzydziestego trzeciego w Macochach, nasz nowy ciepły dom sprzedaliśmy za osiem bochenków chleba, a sami przenieśliśmy się do starego babcinego... Tego chleba już dawno nie ma, zboża też. Matka od świtu do późnego wieczora w kołchozie. Czasami przynosi stamtąd skromną garść prosa lub owsa. Chowamy go skrzętnie, a następnie mielimy na mąkę, rozbełtujemy z wodą...

Jeść... Życ...

Boże!

Nie chodzimy, lecz skradamy się po wiosce jak koty, krety, małe myszy, pająki, jak jedna wielka potworna stonoga, a każda z jej nóg puchnie i swędzi... Sunie swoim rozdętym żółtym brzuszyskiem po ziemi i wyżera wokół siebie wszystko, co tylko może przeżuć. Za nią ciągnie się ślad, czarny i zgniły, i wiem, że na tej martwicy, którą ta ludzka stonoga zostawia, nawet trawa już nigdy nie wyrośnie...

Rozmawiamy szeptem, jakbyśmy żuli słomę. Tylko że jej się nie żuje, bo włazi między zęby, wbija się w podniebienie, przeszkadza wymówić niewymawialne, to, czym się dławimy, czym się zatruwamy, co zwracamy i ponownie połykamy, bo takie są czasy... A wieczorem zasypiamy jak zabici, każdy osobno w swoim kącie, na wyrku, które dla nielicznych stanie się katafalkiem. Staramy się spać mocno, bardzo mocno, tak żeby nigdy się nie obudzić i nie opierać wzroku na ślepych oknach zabitych workami, na gołych ścianach pustkowie, które jeszcze wczoraj było czyimś domem i znało zapach z pieca...

Sola

Najpierw jeszcze nie jest tak strasznie...

Tylko puchniesz...

Po prostu jesteś taka, jaka jesteś – nie-zna-czą-ca, nie-rzu-ca-ją-ca się w oczy...

Po prostu żyjesz. Po prostu istniejesz. Czymś się karmisz... Dniem dzisiejszym, dniem wczorajszym. Po prostu rośniesz, z każdym rokiem stajesz się większa. Zaokrągła ci

się twarz, roznosi ci uda, łydki, ręce, brzuch, nogi napętniają się ciężarem.

Na początku roznosi stopy.

Trochę to dziwne...

Z jakiegoś powodu obrzękają ci nogi i już ledwo wychodzisz z domu, ledwo przestępujesz schodki, progi... Myślisz, że po prostu zachorowałaś, nacierpiałaś się, namartwiłaś, przeżyłaś trudne dni i że wystarczy tylko się położyć, odeśpać – i tak jak już wiele razy wcześniej uleczy cię noc...

Nie, najpierw nie jest tak strasznie.

Coraz częściej odczuwasz zmęczenie, dostajesz zadyszki, pocisz się, stale czujesz zapach swojego ciała i nie możesz go w żaden sposób zmyć. Zdaje ci się, że nikt więcej go nie wyczuwa, a dawno zapomniana woń czystości jeszcze gdzieś żyje w twojej głowie. Z czasem jednak i ona cię opuszcza... Stajesz się niechlujna, niezgrabna, znudzona, obojętna na odwieczne kobiece radości...

Potem przestaje się interesować tobą twój własny mąż.

Na początku dobrze się maskuje: pospiesznie cię obejmuje, pospiesznie całuje suchymi ustami jak ptak, który ni stąd, ni zowąd dziobie w rękę. Kiedy jesteś obok, siada gdzieś niedaleko... Jeszcze się trzyma, mężnie ukrywa swój wstręt do ciebie, do twego nabrzmiałego ciała, do twoich grubych, nalanych tłuszczem ud, ale bardzo szybko się poddaje, coraz częściej odwraca wzrok, coraz częściej o świcie pierwszy podnosi się z łóżka, żeby nie widzieć, jak się ubierasz...

Wam obojgu jeszcze nie jest strasznie.

Jeszcze jesteście parą, on jeszcze jest mężem, a ty żoną, jeszcze nie odebrało wam pamięci, zwyczajnie bawicie się w życzliwość, w miłość, w rodzinę... Wolicie nie myśleć... Ale ta zabawa mija, jego wstręt staje się zauważalny, na tyle widoczny, że musiałybyś być ślepa, żeby nie przeczytać tego w jego oczach, które masz wprost przed sobą. Napięcie wysuwa spod kołdry swoją groźną twarz i wraz z wami wypędza stamtąd miłość i czułość. Wasze łóżko stygnie, robi się zimne, lodowate, robi się puste...

Twoje ubrania rosną wraz z tobą. Oblepiają cię szczelnie. A tak w ogóle to do ciebie przyrastają. Jak druga skóra. Warstwa po warstwie obrastasz ubraniami, jak szeroka rozłożysta kapusta ukrywasz pod liśćmi swoje twarde wnętrze. Kiedy robi się wieczór, nawet zaczynasz spać w ubraniu...

Potrzebujesz coraz większej części łóżka, śpisz zbyt głośno, co noc z twoich piersi wydobywa się chrypienie, a twój cierpliwy prawowity mąż musi ostrożnie przewracać cię na bok, aby zasnąć, aby dotrzeć do rana, w końcu aby przeżyć... Później mu to brzydnie. Poduszka i kołdra idą spać do innego pokoju, bo tam, gdzie śpisz ty, jemu jest duszno.

Nawet wtedy jeszcze nie rozumiesz.

Wtedy jeszcze się nie boisz.

Bardzo boli, ale nie czujesz strachu, a nawet jest ci trochę lżej...

I znowu po prostu żyjesz, po prostu puchniesz. Leżysz, a leżąc, nie myślisz o niczym. Jest tylko jedno, czego ci się chce, nie tyle tobie, ile zwierzęciu, które zamieszkało w twoim ciele: jeść. Ta nienażarta, ta zachłanna istota zmusza cię, byś podnosiła głowę i ciągnęła swoje ciało do jadalni...

A pewnego razu w drodze od łóżka do stołu, w trakcie tych nieszczęsnych piętnastu kroków, nogi odmawiają ci posłuszeństwa... A naprawdę to odmawia serce i dostajesz zadyszki... Dopiero wtedy przychodzi ten dziwny strach, to przerażające odczucie pustki, zbliżającej się otchłani, jakiejś fatalnej i nieodwracalnej ciemności. A ty, leżąc na podłodze w schludnym połtawskim domu, spoglądasz na samiutkie dno i chcesz się podnieść, nie doczołgać się, ale dojść do niego sama, dobrnąć na swoich spuchniętych nogach, dotknąć swoimi obrzmiałymi rękami, dosięgnąć swoimi zobojętniałym wzrokiem i na zawsze zapamiętać.

I prosisz Go o pomoc, prosisz, żeby cię uratował...

Swyryd

Jakież to cud ta Tamara.

Ani gwałtownego ruchu, ani słowa na przekór.

Cichsza od wody, delikatniejsza od gołębia. Uwierzyła we mnie niczym w niebo. Wskoczyła mi za pazuchę i nie wyskakuje. Tak by się tam ogrzewała, tak by tam siedziała, gdybym tylko jej pozwolił.

Nie pozwalałam.

Nie mogę pozwolić.

Nie mogę dać jej ani swojej ręki, ani serca, ani słowa. Tylko worek zboża lub kartofli, tylko miarkę hreczki i czasem radziecką konserwę. Więcej nic.

A ona nawet się nie prosi. Może się boi, że odsunę się od niej, odwrócę. Może myśli, że kiedy zechce zawładnąć moim

sercem, dziewczęca duma ją zadusi. Kocha mnie bezwarunkowo, widzę, że kocha, widzę, jak tonie w moich objęciach, jak się pławi, topi niczym woskowa świeca. Jak ścieli mi posłanie i sama przede mną się rozkłada, jak bardzo drżą jej rzęsy, kiedy przysuwam się bliżej, jak delikatnie brzęczą struny jej głosu, gdy błyskawica naszej namiętności przecina noc...

Już kiedyś kochałem i nic dobrego z tego nie wyszło.

Boję się znów pokochać.

Ciałem Tamary pożądliwie się karmię, jej łaskawymi słowami się leczę, skórę popękaną przed nią jak wąż zrzucam, przez noc obrastam nową i wypęlam w ciemność – byle dalej od niej, od jej domu, który pachnie trawą, byle dalej od wzroku jej matki, która patrzy tak, jakby chciała mnie zadusić...

Tamarę swoją pokorną kolejny raz w sieni mocno dociskam do ściany.

– Dobrze, żeby Oryna gdzieś sobie poszła – szepczę cicho i zębami kaftan na Tamarze zadzieram od pępka aż do piersi, które już drżą tak niespokojnie, tak słodko, takim ogniem się zajęły, że aż mi twarz opiekają.

– Sama zaraz się domyśli. – Tamara śmieje się cichutko i dyszy mi w czubek głowy. – Mamo! – woła głośno. – Mamo, Swyryd przyniósł nam olej. Trzeba schować. – I biegiem ode mnie odskakuje, kaftan na sobie poprawia. Ja pierwszy do domu wchodzę, a ona za mną.

Oryna niechętnie zsuwa się z pieca. Widać ciężko jej. Nogi, pełne, niezgrabne, odśłużyły już swoje. Kiedy kołchoz w Macochach się pojawił, Orynę zobowiązano, by chodziła do pracy. Już pierwszego dnia do kołchozu nie doszła. Osunęła się

koło domu. A Tamara chodziła. Dopóki nie wymyśliła sobie, że mleka ukradnie. Wysmagali ją nahajem i odebrali wszystkie przepracowane dniówki. Więcej pracy jej nie dają.

Więc jestem ich jedyną oporą, ich nadzieją na życie.

Jestem ich pośląncem bożym.

Choć Oryna zgrzyta zębami, kiedy przychodzę do Tamar, to złego słowa powiedzieć mi nie śmie, z domu ucieka i chodzi gdzieś tak długo, jak długo mi potrzeba...

No cóż...

Taka cena, Oryno.

Taka to odplata.

– Może ja do ciebie będę chodziła? – Tamara dyszy mi w szyję. – Żeby mamy nie drażnić... – Pieści mnie jak dziecko i obcałowuje od czoła do kolan. Ustami pierś mi łaskocze.

– Nawet o tym nie myśl! – Odrzucam czerwoną falę jej włosów, żeby widzieć twarz. – Nie możesz ty do mnie.

– Dlaczego, Swyrydzie? – Gryzie mnie w szyję, bawiąc się. – Żona kociubą prześwięci? – żartuje, przymila się, pokpiwa ze mnie.

– Zamilcz wreszcie! – proszę ją władczo, rozkazuję. Nie mówi dalej. W milczeniu oddaje się moim rękom... A wtedy i ja się zapominam.

Nigdy bym nie uwierzył, że ona jest taka wstydliva, piękna, cudowna, taka jak ciasto uległa, taka smaczna. Nasycam się nią, najadam, rozpuszczam się w niej i co chwila wyrzucam z siebie sól. Wyrzucam całą swoją gorycz na jej ciepły brzuch...

Gdzieś pod oknem chodzi Oryna, wypatrując w nim światła... Światło oznacza, że na mnie już czas, a ona może wracać do domu.

Ale długo nie zapalamy kaganka...

Tamara zasnęła na moim ramieniu... Oswojona... Bezbronna...

Moje nasienie grzeje się w dołku jej pępka...

I na szczęście nie kiełkuje...

Dusia

Tośko Łantuszok nie lubi ludzi.

Kiedy był dzieckiem, ludzie na jego oczach zabili mu ojca. Podobno za to, że po cudze dobro rękę wyciągnął, ale tak naprawdę, kto to wie... Zapędzili go w kozi róg, widły w pierś wsadzili – i po wszystkim.

– Złodziej! – wydzierali się. – Złodziej! Złodziej! – Tego dnia niebo nad Macochami przeszywały trzy, cztery czy też pięć ludzkich głosów. – Złodziej!

Mały Tośko nie wiedział wtedy, za co ojca karzą, uszy zasłonił dłońmi, schował się pod przyzbą i trząśł ze strachu. Kolanami dosłownie wrył się w ziemię, w drobny, pokruszony piasek. Serce w nim zamarło, ledwo co oddychał.

– Złodziej! – stukąło, tupało, waliło go po dziecięcej głowie, wbijało się pod jasne włoski, w samo ciemiaczko. – Złodziej! – wychodziło jak szydło z worka i wciskało się z innej strony, przebijało na wskroś maleńką ludzką mróweczkę, która wprawdzie znalazła schronienie dla swego rozdygotanego ciała, ale w żaden sposób nie mogła zasłonić uszu na tyle szczelnie, żeby nic nie słyszeć. – Złodziej! – przewaliło się raz jeszcze, a potem tak samo nagle jak się pojawiło,

tak i nagle ucichło. Tylko gdzieś w pobliżu charczał słaby głos ojca...

On, Tośko, ośmioletnie dziecko, wsłuchał się raz jeszcze, powoli wylaźł ze swojego schronienia i na kolanach, właśnie na kolanach zaczął pełznąć na środek ojcowskiego podwórka – tam, gdzie przebity czyimiś ostrymi widłami już spoczywał w Bogu jego tato, Jasio Łantuszok. I tak to nad ciałem ojca zastała go wieczorem Augustyna. Chłopak nawet płakać już nie mógł, bo wypłakał oczy na całe swoje życie...

Odtąd Tośko nie lubił ludzi.

Nigdy nie chciał znać tych, którzy odebrali życie jego ojcu, ale innych też nie szanuje. Kiedy zatrzymuje wzrok na kimkolwiek, to jakby patrzył nie na człowieka, lecz na puste miejsce, a jeśli już z kimś rozmawia, to jakby piaskiem pluł z ust... Zazwyczaj milczy, jak gdyby ci już śmierć przepowiedział. Pół życia przeżył, zdążył już posiwieć, nawet nieco się zgarbił, ale ani odrobinę nie stał się lepszy. W Macochach nikt go nie znosi. Tylko gniada kobyła, tak samo stara i narowista, przyzwyczała się do niego i słucha swojego Tośka jak Boga... A poza nią to żadna żywa dusza nie może z nim wytrzymać.

Zły to człowiek, dziwny, dziki. Cały czas ma na podorędziu widły, jakby szykował się do obrony... Nie wiem, na kogo przez całe życie czeka, na jakiego wroga. Oto siedzi na ławce pod czereśnią, oczy mruży do słońca, po siwej brodzie pełnie mu jakiś insekt... I tak jakby sobie odpoczywał, ale jednak ma widły, oparł je o pień, a ręka jakby do trzonka się przykleiła...

W sąsiedztwie babci, a obecnie to i nas wszystkich, mieszkają Łantuszoki. Po jednej stronie oni, a po drugiej

bezdietna Warwara Lebidzka. Jak pamiętam, to na podwórko Łantuszoków zawsze wbiegały babcine kury. Ile myśmy się tego przejścia naszukali, a jak zabiliśmy w jednym miejscu, to one sobie wynajdowały gdzieś inną dziurę. I skrzydła babka im podcinała, i pilnowała cały dzień, i cały czas krzyczała: „A sio”... A gdy tylko do chaty pójdzie, to kury już na cudzym podwórku. Czy trawa tam jakaś lepsza była? Pewnego dnia, jak babciny kogut znów Łantuszokom młodą marchewkę wydziobał, Charyton nikomu słowa nie powiedział, tylko machnął widłami... i już kogut wyciągnął nogi. Na widłach Łantuszok go podniósł i przerzucił babce Ołeksandrze na podwórko. Milczał cały czas, dosłownie ani pary z ust nie wypuścił.

Mała wtedy byłam, stałam na podwórku, objadałam czeresnie z gałęzi, którą ściął dla mnie tata. Nad moją biedną głową przeleciał ten kogut... i na buzię bryznęła mi kropelka krwi. A może to był sok z czereśni, tego nie wiem nawet i teraz. To właśnie wtedy zaczęłam się bać sąsiadów babci. I obecnie także nie mniej się ich boję.

Kiedy w trzydziestym pierwszym do Macoch przyszli komuniści, to Charytona razem z wozem, jego wiecznymi widłami i kobyłą zrobili kołchoźnikiem. Wszystko zabrali z jego gospodarstwa: pług, kultywator, bronę. On nawet się nie sprzeciwiał. Uwierzył, że nastanie raj, że „pod jedną kołdrą będą spać i kobiety, i mężczyźni”, tak więc postawił na kołchoz. Mówią, by gnój spod krów woził, to wozi, a jak trzeba buraki, to buraki. Utrwalacze po chatach kułactwa szukają, tak więc i Tośko pod bramą cierpliwie przesiaduje... Na worki ze zrabowanym dobrem czeka... Sam jest głodny, aż cały

czarny, chatę bieda obsiadła, jego matka Augustyna opadła z sił, legła, modli się tylko, to głośno, to po cichu, żeby go nie rozgniewać, a on zapomina nawet ją nakarmić. Nijak czerwonej zasłony sprzed oczu zdjęć nie może i przybyłym zwyrodnialcom służy. Wierzy, że będzie tak, jak propaganda naobiecowała, że w kułackiej koszuli wreszcie będzie mógł chodzić i zazna kułackiego szczęścia... Czasami dotelepie się późnym wieczorem do domu, wsunie do chaty i do słabowitej matki nawet słowem się nie odezwie. Samogonem od niego wali tak, że nawet u nas czuć. Położy się i chrapie. Ta ich chata to stara lepianka, jeszcze dziadkowa, nie wytrzyma już drwin, więc zawala się to tu, to tam, no i dach od dawna przecieka, na głowę kapie, ale Tośkowi wszystko jedno. Do żadnej roboty się nie bierze... Tylko czeka, aż poślą po niego i powiedzą, dokąd ma jechać.

To było jeszcze całkiem niedawno i dobrze zapadło nam w pamięć. Na zimę już się zbierało, wieczór zgęstniał i stwardniał. Matka akurat z kołchozu wróciła. Przyniosła trochę jęczmienia w kieszeniach. Jak ona go ukryła? Tego nikt nie wie. Przetrzęsają ich na bramie... Mnie następnego dnia za trochę owsa z „Czerwonej Gwiazdy” wyrzucili. Brygadzista powiedział, że gdyby ojca mojego nie lubił, to doniósłby o tym w mgnieniu oka. A tak... to żeby moja noga więcej tu nie powstała. Do innych kołchozów drogę od dawna mamy zamkniętą. W pośpiechu schowaliśmy jęczmień na strychu – rozrzuciliśmy pomiędzy gryczane plewy, te, którymi połowa poddasza była wysypana, w ten sposób stał się niezauważalny i nikt nie mógł go zabrać, nie wybierawszy po pół ziarenka...



HISTORIE WARTO OPowiedzenia



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



www.mova.com.pl



[wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[wydawnictwomova](https://www.instagram.com/wydawnictwomova)



Zajrzyj i bądź na bieżąco!